

Powodziowe fantasmagorie

4 października 2024

Ich ekscelencje: wagistra Pinda i penister Bzdyl, czyli powodziowe rozmyślania nad nazewnictwem ministerialnym.

Drzwi od garażu były otwarte, piętnastoletnia honda civic zdeponowana na podwórku sąsiadów mieszkających na górcie. Kanadyjkę, wiosło i hermetyczną beczkę-niezbędnik miałem w garażu obok siebie. Poziom wody ustabilizował się o zmierzchu i po dwóch bezsennych nocach ta zapowiadała się spokojnie. Byłem sam w całym domu, rodzina wyjechała na bezpieczne tereny, zabierając ze sobą psa, żeby na widok powodzi nie zdechł na zawał serca. Kiedyś mówiło się „zdechł pies”, teraz pies należał do pokolenia bezdzietnych „młodych”, miał zajęczą duszę i kulił ogon pod siebie na widok zjeżonego kota jak dobra zmiana na widok ambasadoressy, zamiast go pogonić. Dziadek (czyli ja) niejedno widział i byle powódź nie była mi czymś nadzwyczajnym. Pamiętałem „komunę”, za której czasów każde zjawisko przyrody było oficjalnie niesłychanym: ulewa, deszcz, śnieżyce zawsze były klasyfikowane jako kataklizmy tysiąclecia, a w najlepszym przypadku stulecia. Ta powódź wyglądała na stuletnią. Wiele domów leżących niżej od mojego miało wodę w pokojach na pierwszym piętrze. Żałowałem właścicieli, mimo że wiedziałem, iż w minionych wyborach głosowali na formację domagającą się wstrzymania budowy zbiorników retencyjnych. Budowa została zablokowana, żyjące na terenie przewidzianym pod zalew ćmy i pachruszniki [1] i tak utopiły się podczas przyboru wody, a mądrale zostali ewakuowani pontonami straży ogniowej do remizy na górcie, skąd obserwowali, czy jakiś szabrownik nie próbuje obrobić ich chałup. Zastanawiałem się, gdzie zastawili mózgi, kiedy czas było myśleć o przyszłych powodziach. Może w lombardzie?

Ustawiłem sobie łóżko polowe przy drzwiach garażu, na taborecie położyłem latarkę i atrapę pistoletu, nanizałem na siebie śpiwór pamiętający rozliczne spływy kajakowe i rejsy

żeglarskie. Przeżegnałem się i przytuliwszy do jaśka, czekałem na sen. Po głowie snuły się różne myśli: a to jak Noe przewidział najślawniejszą powódź w dziejach świata i uratował wszystkie gatunki, zapędzając po parze do arki. Mówią, że pchły uratowały się w sierści dromaderów, pluskwy – u baktrianów, a Noe z tego powodu się rozpił, ale czy to prawda? Gdzie wtedy były kleszcze z tą parszywą boreliozą? To znów jak człowiek pierwotny budował prymitywne zastawki na rzeczce, żeby w głębszej wodzie łapać ryby i mieć wodę w czasie suszy, gdy rzeczka wysychała. A potem myśl przeniosła mnie do Szwajcarii, w której na górskich rzekach grożących co roku powodzią wybudowano zapory z olbrzymimi zbiornikami retencyjnymi zapewniającymi nie tylko stały poziom wody w rzekach, ale też produkującymi olbrzymią ilość energii elektrycznej bez względu na to, czy wiatr wieje albo słońce skryło się za chmurami. Sam widziałem, jak kozice chodzą po prawie pionowych ścianach zewnętrznych zapory i wyżerają mech, który tam rośnie. Co prawda i tam zdarzają się powodzie podczas ulewnych deszczy, ale gdyby nie zapory – to chyba byłby stan permanentny. Szwajcarzy, jak dotąd, nie dali się ogłupić jakimś ochroniarzom klimatu po wyższych szkołach gotowania na gazie albo i bez szkół, a z ekoterrorystami widocznie potrafią rozmawiać. Szwajcarska straż graniczna ma prawo strzelać do osobnika uciekającego kontroli na granicy – nie tak, jak pogranicznicy w Polsce. Zdarza się, że strzela. Celnie!

Zapadłem w półsen, słyszałem bełkot płynącej wody, napierającej na kamień na rogu ogrodzenia. W niezbyt gęstej ciemności majaczyły kontury drzew, pełzły strzępiaste mgły, snuły się jakieś nieregularne kształty zbliżające się do żerdzi, którymi ogrodzona była łąka po drugiej stronie drogi. Nagle z tej mgławicy wyłonił się dorodny baran, przeskoczył żerdzie i znikł na łące. Zdążyłem w locie dojrzeć napis „Immunitet” na rulonie, który trzymał w pysku. Jaki immunitet? Po co to niósł, skoro i tak zawiesza się to w zależności od potrzeb tolerancji opresywnej i demokracji praworządnej? Przy

ogrodzeniu pojawił się osobnik w zielonej „gimnastiorce” z tabliczką na kiju; na tabliczce była cyfra 1. Skojarzył mi się z kimś znanym z telewizji, ale z kim? Osobnik nagle zmienił przyodziewę: miał na sobie frak i trójgraniasty kapelusz, wyglądał na konferansjera z kabaretu, grzebał przez chwilę koło rozporka. Do żerdzi podjechała bezszelestnie i bezspalinowo czarna limuzyna z kogutkiem na dachu. Wyfraczony podskoczył do samochodu, otworzył drzwi i zgiął się w głębokim ukłonie. Z limuzyny wysiadła atrakcyjna kobieta w wieku „rębnym” (pożyczone od St. Michalkiewicza), elegancko ubrana. Frak odwrócił głowę w moim kierunku i zaanonsował: „Wagistra ochrony klimatu i środowiska, jej ekscelencja Pinda Meliorska”. Pinda jakby przysiadła, oblicze jej się wydłużyło i upodobniła się do owieczek cierpliwie oczekujących w kolejce na miejsce do skoku. Nagle sprężyła się i jak zwykły baran przesadziła ogrodzenie, po czym znikła, a czarna limuzyna razem z nią. Na miejsce podjechała kolejna bliźniaczo podobna, frak otworzył drzwi i zaanonsował: „Penister renowacji bagien, mszarów i moczarów oraz ochrony kumkaczy, jego ekscelencja Pafnucy Bzdyl”. Penister Bzdyl, podobnie jak wagistra Pinda, przyjął baranią postać, przesadził żerdzie i znikł we mgle. Po nich przeskakiwały zwykłe owieczki i barany, „frak” pokazywał na tabliczce kolejne liczby, aż sam przybrał baranią postać i pobekując przeskoczył w mrok na łące.

Sen nie przychodził. Woda bełkotała o kamień, ale towarzyszył jej coraz bardziej słyszalny rytmiczny dźwięk, jakby „ciap... ciap...”. Zamigotało światło latarki na ścianie garażu, „ciap... ciap...” było tuż tuż.

– Dobry wieczór – odezwał się strażak z pontonu. – Spokojnie tu? Ta spluwa prawdziwa?

– Spokojnie, ale nie mogę usnąć. A to jest atrapa.

– Lepiej ją schować. Woda nie przybiera, będzie dobrze. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Sięgnąłem po papierosa i dopiero w tej chwili obudziłem się na dobre: przecież nie palę od piętnastu lat! Barany nie wróciły do przeskakiwania przez żerdzie, ale kim byli ta wagistra Pinda i ten penister Bzdyl? Wagistra i penister? Pal sześć Pindę i Bzdyla! Toż to pasuje jak ułał do funkcji ministerialnych damskich i męskich w epoce antykultury! Gdyby tak przyjęto jako nazewnictwo oficjalne zgodne z poprawnością polityczną, może za wynalazek dostanę jakiś order chlebowy? Albo Nobla jak poetka sławiąca niegdyś słodsze od malin usta Stalina? Jak to było? „Niech żyje nam towarzysz Stalin, co usta słodsze ma od malin”... Chyba już nie usnę do rana... Miło pomarzyć o lepszej przyszłości emeryta czasów komuny... Wagistra i penister... Po prostu cymes jak gęsie pipki na słodko! Ale co z pozostałymi rozchwianymi płciami? Za skojarzenie penisa z waginą Stwórcy wygnał Adama i Ewę z raju! Bo chyba o to się wkurzył? Może za ten raj utracony nitrasy chcą piłować katolików?

Autorstwo: Barnaba d'Aix

Źródło: WolneMedia.net

Przypis

[1] Pachruśnik: Chruśnik, który zrobił ekoterrorystom „pa” i utonął w czasie powodzi.